ROK POLSKI.

POEMAT.

1.

Domowego pełen wdzięku,
Pamiątek pełny uroku,
Siwowłosy, kontuszowy,
Z karabelą w zwiędłym ręku
Witaj mi, ty polski roku.
Jak dziecięciu ponad głowy
Wiałeś niegdyś w matki domu
W niedzielne ubrany szaty,
Tak mi stań, w święta bogaty,
Pól i łąk pachnący wonią,
I w ten wiersz daj się bez sromu
Bogobojną zakląć dłonią.

Stary roku, polski roku
Giniesz, giniesz w czasów gwarze,
W twym uroczym, cichym zmroku
Nie da usnąć Bóg, co karze,
Co wygania od ogniska
I po całym świecie ciska.
W uroczystéj twéj zadumie
Już ponurzyć się nie umie
Ten, któremu ciszę duszy
Lada chwila piorun kruszy;
Ten, któremu klęsk tumany
Słonią niebios sklep świetlany.

Ty się wleczesz wspomnieniami
Za wygnańcem, za tułaczem,
Gdy pod cudzemi programi
Gorzki, cudzy chleb je z płaczem,
A znużony życia męką
Czasem we śnie skrzydłem marzeń
Mierzy koléj twoich zdarzeń:
Wspomni, jakeś tkanką cienką,
Tęczowemi blaski strojną,
Prządł w żywota jego wątek
To modlitwę bogobojną,
To rodzinnych nić pamiątek.

Ty w marzeniach o przyszłości
Stoisz, siwy stróż zwyczaju!
Gdy Bóg kiedyś w naszym kraju
Zapanuje w łaskawości,
Gdy oblicze swe rozchmurzy,
To ty wrócisz polski roku,
Jako gołąb po téj burzy!
Wrócisz! w domu wymiecionym
Stary zwyczaj się rozmnoży,
Niebo jasne, świat ten hoży
Znów zagada dawnym tonem.
Wrócisz! serca nam roztają,
Wróci uśmiech i swoboda,
Ku modlitwy złotym krajom
Znowu wdzięczna myśl się poda.
Z zdobyczami lat niedoli
Przeszłość się pobożna splecie,
Z męczenniczéj aureoli
Wyjdzie mężem, naród— d[illegible]

Bogu korny, w duchu silny,
W czynach wielki — ród mogilny,
Co powierzył tyle Bogu,
W wierze tyle cierpień przeżył,
I w świątyni Bożéj progu
Dank otrzymał — że powierzył.

2.

Od adwentu toż rozpocznę
Twoje dzieje polski roku:
Noce długie, dnie pomroczne,
Wcześnie słonko gdzieś w obłoku,
Gdzieś w tumanie śniegu ginie:
Wielka światem cisza płynie.
Lecą, lecą śniegu płaty,
W polach wielka jakaś głusza:
Bo bez Pana tęskni dusza
W niebo nucąc pieśń *roraty*,
Śmierć pogrzebny całun ściele
Kędy Ciebie niema Chryste:
Więc go spuśćcie nieba mgliste,
Nawiedzenia zleć Aniele!
Patrzaj: ku świątyni Pańskiéj
Mrokiem ciągnie lud chrześciański
Zanim niebo świt zrumieni.
Sklep kościoła gdzieś wśród cieni
Niknie, w cieniach pieśń podlata,
Dołem światła blade płoną:
O zejdź Chryste, Panie świata,
Na tę ziemię utrapioną.

Zbliża, zbliża się dzień wielki,
Anielskiemi skrzydły zbliża:
Nieskalanéj Rodzicielki
Mija święto uroczyste,
Zasłony niebios cieniste
Święta dziewica obniża —
Przełamane państwo nocy:
Świat uroczą drży tęsknotą,
Z zmierzchu czasów, z niebios mocy
Adam z Ewą idą oto
Rajską wonią otoczeni,
Prarodziców wielka para,
Gdzie wśród betleemskich cieni
[illegible]ja się niebios ofiara.

3.

Wilja, wilja, rok Dosiowy,
Pełen szczęścia i nadziei,
Rankiem strzelec mknie na łowy,
Do śnieżystéj goni kniei;
W domu rojno, zachód duży,
Jakby gość przybywał wielki:
Boć w dalekiéj tam Judei
Dążą stopy Rodzicielki
Kędy Boży cel podróży
Gwiazdą mędrców oświecony,
W biednéj stajni utajony!
Na błękitu płat przeźroczy
Patrz! wieczorna gwiazda kroczy.
Ku pasterzom na polanie
Zlata anioł niespodzianie...
Świat przeczucia biorą dreszcze,
Z snu się mędrce budzą wieszcze,
Z oddalonych krańców świata
Wielka pieśń tęsknoty wzlata:
Bóg się rodzi; szczep Dawida
Zbawiciela światu wyda!

Rozpłonęły domu ściany
Od radości, od świetlanéj;
W kątach izby bujnym kłosem
Cztery zboża snopy świecą,
Jęczmień gwarzy coś z pszenicą,
Żyto z owsa sutym wrzosem,
A wieść niesie, że w przedchwilę
Uroczystą narodzenia
Szepcze cały świat stworzenia,
Gwarzy cały świat w mogile,
Domu nawet gwarzą ściany,
I zwierzęta na oborze
W głos dla ludzi niesłyszany
Chwalą Pana, jak kto może.

Pod obrusem śniegu bieli
Wonna łąka traw się ścieli,
Siano Cię wspomina Panie,
Któryś w żłóbku tam, na sianie,
Zwierząt grzany oddechami
Zjawił się, król nad królami,

Aby podnieść lud ubogi,
Aby człeku słowy swemi
Ku niebiosom zrównać drogi,
Potém padół zrównać ziemi...
Toż w obliczu tego siana,
Przy opłatku przed wieczerzą
Nieznać sługi, nieznać pana,
Domownicy wszyscy bieżą,
Cała garnie się czeladka,
Do równości, do opłatka,
Do Bożego prawdy chleba,
Do zakonu, co zszedł z nieba.
Betlejemska wielka chwila
Z Piastowską się łączy gadką,
Krasy dodał miód opłatkom
Ze słowiańskich pasiek roju:
Zda się słowik gdzieś wykwila,
Brzęczą ule, szumią stawy:
Z góry patrzy Bóg łaskawy
Na lud prawdy i spokoju.

Już na obrus płynie stoła
Tradycyjnych potraw siła:
Więc bez zupy migdałowéj
Wilja-by się nie obyła;
Bez szczupaka, co u czoła
Ma narzędzia Chrystusowéj
Męki w kości wyżłobione:
Krzyż, i włócznię, i koronę...
Więc bez maku: mak być musi,
A na Rusi, o! na Rusi
Bez pszenicznéj kuti z miodem.
Z wielkim kutię tę zachodem
Gospodyni długo warzy,
Aż pszenica się rozparzy,
Aż na ustach się rozpływa:
Jaka kutia się udarzy
Taki rok-bo zwykle bywa.

Cyt! dzwon nocy zmącił ciszę!
Uroczysty się kołysze,
W śnieżne pola płynie z wieży,
O iskrzące gwiazdy trąca
Nuta jego promieniąca!
To wesoła *msza pasterzy*,
To maluczkich powitanie
Zbawiciela w Kanaanie!
W osędziałych lip pierścieniu
Już kościelne okna płoną,
Organista w zachwyceniu
Ku poskocznym sięga tonom:
„W żłobie leży“ „Bóg się rodzi!“
Z pod klawiszów mu wychodzi.
Pada w tłumy ton wesela,
Rośnie, w głośny hymn wystrzela,
Tak naiwny a uroczy,
A tak szczery i serdeczny,
Że mu z drogi zda się mlecznéj
Chór aniołów nieba wtórzy,
Że w miłosnéj jakiejś burzy
Niebo z ziemią się jednoczy.

4.

Lecz już niebo świt spromienia,
I spowity w rańtuch biały
Dzień Bożego Narodzenia
Wstaje, dzień człowieczéj chwały:
Moc szatańska pokonana,
Boża myśl się staje ciałem,
Aby powieść skrzydłem białem
Wieków pochód ku dobremu,
Aby królestwo szatana
Podbić królestwu Bożemu!
Ciesz się biedny i znękany,
Ciesz rozbity życia męką,
Sztandar krwią twoją oblany
Szumi zwycięzką piosenką,
Ciesz się w rozpaczy godzinie:
Nie ślepy światem traf wiedzie,
Chrystus z chorągwią na przedzie,
Tyś walczył w Chrysta drużynie!
Patrzaj, z dniem urodzin Pana
Męki wyznawczéj zbratana
Wielka pamiątka w kościele:
Święto męczeństwa Szczepana.
Ciesz się, tam idzie ich wiele
W purpurze krwawych tryumfów,

Z palmami zwycięstwa w dłoni,
A świat co rzucał kamieniem,
Uznania hymny im dzwoni!

Nie zginie — moc Boża wielka—
W dziejowéj księdze ludzkości
Łza żadna, żadna kropelka
Krwi, co ku morzu miłości
Dążyła w walki godzinie
Przez suche życia pustynie!
Patrzaj, za świętym Szczepanem
Ewangielista proroczy,
Co był najmilszy przed Panem,
Co topił wieszcze swe oczy
W twarz Zbawiciela świetlaną
Na łonie oparłszy głowę,
Co widział miasto Chrystowe
Odziane w zorzę poranną,
I ziemię i niebo nowe:
Ewangielista za sobą
Młodzianków wiedzie tłum biały,
Co niegdyś dla Pana chwały
Polegli z matek żałobą.

5.

Toż pomimo zawieruchy,
Mimo zimowéj zamieci,
Szybko a wesoło leci
Czas; swoboda zkądś na duchy
Uroczemi skrzydły zlata
Z cudownego wiary świata.
Stary Rok, Symeon stary
Wznosi dłonie pełne wiary
Ku dzieciątku, co w pieluchach
Tyle światu dobra wieści,
Tym pociechę—co w boleści,
Siłę tym—co słabi w duchach;
Co o jeden rok przybliża
Wielki tryumf swego krzyża.
I złamane już w szermierce
Woła każde biedne serce:
Puść mnie Panie mój w spokoju,
Bom daremnie nie stał w boju,
Bo cegiełką będę przecie
W wielkim gmachu Twéj budowy,
Bo nie zginie na tym świecie
Żaden włos z człowieka głowy,
Żadna myśl co w górę wzlata,
Żadna praca i krew żadna,
Ale w wieńcu będzie kwiatem,
Coć tryumfem skroń oplata.

Jawi, jawi się Twe słowo,
Ciałem staje się i czynem.
Niegdy nad Dziecięcia głową,
Pomiędzy pasterskim gminem,
Mędrcy stanęli ze wschodu
Gwiazdą wiedzeni na niebie:
Dzisiaj pielgrzymi do Ciebie
Tłum niezliczony narodu,
Przez mąk i trudów tysiące
Do Twego państwa przyszłości,
Gdzie w jeden pierścień miłości,
Miłości łączy nas słońce.
Przy świętéj dziecka kolebie
Z dwóch krańców dziejowych oto:
Niosą, o niosą dla Ciebie
Mirrę, kadzidło i złoto.
Mirrę ofiary i trudów,
Złoto prawd, duchem zdobyte,
Niosą kadzidła obfite
Z ołtarzy walczących ludów,
Z męczeńskich mogił i stosów,
Któremi droga znaczona
Do Ciebie, do Twoich niebiosów!

6.

Lecz mięsopust już za drzwiami
Gdzieś w ubiegłe nęci lata:
Kontuszami, robronami
Jasna błyszczy się komnata;
W poloneza szumne pary,
W koło wielkiego pierścienia,
Wiążą się rycerze wiary
Z prababkami pokolenia.

Otworzone dworu wrota
Garną braci tłum ochoczy,
A serdeczna zkądś ochota
Rozpromienia czoła, oczy,
Krew gra w żyłach bujną falą,
Ale szczytnéj gra ta nóty:
Jutro wici gdy zapalą
Stanie rycerz w stal okuty,
W step pogoni za pohańcem
Ubran w skrzydła, jak niebianie,
I ojczyzny wiernym szańcem
Ta wesoła pierś się stanie.

O swobodo! rajskie ptasze,
Dawnoś znikła z naszéj ziemi;
Na strudzone czoła nasze
Nie powiewasz już srebrnemi
Skrzydły, aby w życia trudzie
Odpoczęli trochę ludzie.
Gdzieś w śniegowéj tam zawiei
Dawnéj znikła pieśń ochoty:
Ach! bo tyle w nas tęsknoty
A tak mało jest nadziei!
Górą serca! na nieszczęście
Nie przeznaczył Pan Bóg ludzi,
Więc do boju wznieśmy pięście;
A jeżeli pieśń wesoła
Zdolna smutek spędzić z czoła,
Jeźli stęchłą krew rozbudzi,
To zanućmy wbrew tęsknocie
Pieśń wesela przy robocie!
Lecz niech z pieśnią tą wesela
Ogień czynu się zestrzela,
Niech postrachem będzie wrogom,
Że znękani śpiewać mogą!...

7.

Popielcowa smętna środa
Do skupienia ducha woła,
Niezadługo świat zbłąkany
Puhar żółci Panu poda,
A na grzeszne nasze czoła
Krwią pociekną święte rany...
Na ołtarzach kir żałoby,
Wielka cisza w starych tumach,
W uroczystych pieśni szumach
Szepcą grzech swój stare groby,
Pokolenia z łzami w oku
Oczekują słów wyroku.
Biada! biada! *zła* władanie
Na Twą głowę rwie się Panie;
Z światłem ciemność walkę toczy:
Lecz Ty widzisz, Ty proroczy
Widzisz przyszłe zmartwychwstanie,
Widzisz tryumf Twego krzyża
Jak przez mękę się przybliża.
O daj siły! daj wytrwania!
Daj pewności w noc czekania,
W noc, gdzie gasną wszystkie blaski,
Wszystkie gwiazdy mgłą się mroczą,
O! daj Panie siłę łaski,
Daj nam w męce moc proroczą!

Czy widzicie w zmierzchu czasów
Te postacie z dumném czołem?
Włosień na ich ciele gołém
Miasto sajet i atłasów,
Post wybielił im oblicza,
Twarz ostremi rzeźbił dłóty,
Jeno w oczach tajemnicza
Lampa świeci się pokuty.
Patrzcie, Zbawiciela drogą
Pod Golgoty straszne wzgórze
Pokutniczą idą nogą:
A o święte krzyża ramie
Łamią się żywota burze,
Wieloletni gniew się łamie...
Pod pokuty téj popiołem
Stary człowiek w pył się kruszy,
A urobion w głębiach duszy
Wzlata nowy archaniołem.

W ciężkiej życia twego doli
O! módl siły téj skupienia,
O! wyrabiaj tę moc woli
Co przetwarza pokolenia,
Synu ziemi nawiedzonéj!
Ty zbawienia szukaj w sobie,
Ty na wielkim dziadów grobie

Rozpoczynaj przyszłą drogę
Od twéj ścieżki zapuszczonéj,
Gdzie codziennie stawiasz nogę.
Ty od serca twego, głowy,
Rozpoczynaj gmach przyszłości,
A jak filar granitowy
Dźwigniesz sklep dla potomności!
Ty w codziennych prac szermierce,
Ty w usłudze nieustannéj
Między braci rozdziel serce,
Jak twój Mistrz z nieba zesłany.
Koło siebie, w rąk zakresie,
W ciasném kole twego sioła
Prac tysiące ciebie woła,
Prac tysiące drobnych, małych,
Wspólnéj, wielkiéj znamie niesie,
Co udziałem zmartwychwstałych.

8.

Z cierpień wstaje prawda Boża,
Z burz zimowych rwie się wiosna,
Z śmierci-życia nić radosna
Snuje się, jak ziarno zboża
Co spoczywa w ziemi cieniu
Nim chleb wyda pokoleniu.
Ale chwila bywa w życiu,
Gdzie bez męczeństw zda się trudu
Zejdzie prawda w serca ludu,
Że się przyjmie w serc ukryciu,
I bez walki, jak cud Boży,
Na téj ziemi się rozmnoży...

Ku świętego miasta murom
Pielgrzymiący lud się snowa,
Na wiosennych tle niebiosów
Zbawiciela jasna głowa
Ponad ludem idzie górą
Wśród Hosanny srebrnych głosów...
Woń wiośniana, woń palmowa
Niewidzialna z wiatrem płynie
Między domy i świątynie...
Zda się, świat ten cały Boży
W wielkiém udział weźmie dziele,
Serce ścieżaj swe otworzy,
Szatą drogę mu uściele,
I gdzieś z duszy rozpłakanéj
Wydobędzie pieśń Hosanny!
Nie! to pierwszy uśmiech wiosny
Która z zimą walkę stoczy,
To ostatni blask radosny
Co męczeńskie krasi oczy,
Co przeczuciem zwycięstw chwili
W drogę cierpień się posili,
To stanowczych walk zaranie,
Których końcem zmartwychwstanie!

9.

Odtąd każda chwila święta
Krwią i łzami przesiąknięta.
W głębiach duszy, zda się, twojéj,
Straszne dzieło się odbywa,
Gaj oliwny liściem śpiéwa,
Kalwaryjska góra stoi,
A w pobożném serca drżeniu
Czujesz kroki ku zbawieniu...
Czujesz, czujesz, jak się zbliża
Ku strasznemu drzewu krzyża;
On przejrzysty, nieujęty
Żadną pieśnią, a wrośnięty
W każdą duszę chrześcianina.

Ruch niezwykły się zaczyna
Pośród wiernych... wytrącony
Każdy z zwyczajnéj kolei,
Jakby wszelki kątek ziemi
Ziemią stawał się Judei
Znaczoną drogi krwawemi
Zbawiciela...

Milkną dzwony,
Wielka w sercu jakaś głusza...
Na Kalwaryi nagie wzgórze,
Wielki pochód męki rusza...
Krzyż na szczycie... na tle burze,
Ciemność jakaś niesłychana,
Jakby skrzydła Lewiatana...

Na ciemności postać biała,
Wielka — ramiony krwawemi
Obejmuje przestwór ziemi...

W kościołku wiejskim dziadkowie
Grób Jego lampami stroją,
Koronę ma z cierni na głowie,
U grobu rycerze dwaj stoją,
Od krzewów i choin zieleni
Bieluchne odbija ciało:
Wśród smętnych kościołka cieni
Gronko się prostaczków zebrało...

Na klęczkach się suną, gdzie leży
Umarły, rozbity na krzyżu,
I słychać szepty pacierzy...
I na cynowym talerzu
Grosz wdowi dźwięczy wśród ciszy
Ubogim dany w pokorze:
Może dźwięk Chrystus posłyszy,
A na ubogich wspomnienie
Obudzi się serce to Boże,
Które złamało cierpienie...

Może się zbudzi—bez Boga
Straszno-by ludziom na świecie:
Patrz! nadmiar ucisku gniecie,
Blada na twarzach ich trwoga;
Na rządy świata i ludzi
Coraz się inny duch wdziera:
Dzisiejszy Bóg... jutro umiera,
A nowy gdzieś w cieniach się budzi...
I walcząc ramiony krwawemi
W ruiny rozbija świat ziemi.

Patrz! w nieustannéj szermierce
Rozpękło szlachetne serce
Przy czarnem sercu zbrodniarza.
Promień słoneczny bez duszy
W jednakie próchno je kruszy,
Zgniliznę z nich jednę wytwarza.

Pod sklepy nieba miedziane
Daremnie modła podlata,
Daremnie pięści ściskane
Rozpaczą sterczą do góry,
Duchy męczeńskie nad chmury
Innego szukając świata,
Padają marnie w proch ziemi...
Nieba—już niema nad niemi!

Przed szeregami ludzkości,
Co goni szturmem w stulecia,
Niema sztandaru światłości,
Wawrzynu niema ni kwiecia
Dla tych, co padli w pochodzie;
Przez ciemne tylko przestworza
Mkną błędne ognie chwilowe:
Za niemi przez krwawe morza
Goni naród po narodzie,
Syn na ojcą stąpa głowę,
Giną w szalonym odmęcie,
Wołając w śmierci: Przeklęcie!

10.

Nad ziemię moję skrzydłami
Wylatam w noc tę grobową.
Kościoły świecą grobami:
Pod płachtą ziemi śniegową
Zasiewy ziarna i kości
Czekają wiosny miłości.

Cisza... Przedranne już chmury
Przez niebo suną się sine,
Ból tęskny kędyś do góry
Wygnał skowronka, ptaszynę,
Wzleciał, rozśpiewał się Bogu
U niebios jasnego progu.

Na hasło jego zbudziły
Bezlistne się gaje i lasy,
I słychać ptaszęce hałasy:
U strzechy, u śnieżnéj mogiły,
Co cierniem obrosła i wrzosem,
Wołają gardzieli stu-głosem:
O zbudź się! zbudź Chryste nasz miły!

Ptaszęcym chórem zbudzone
Cmentarne świerki i brzozy,

I wikle nadwodne i łozy,
I bluszcze, co liście zielone
Rzuciły na ruin kamienie,
Na kraty więzienia rzuciły,
Wołają w jedno westchnienie:
O zbudź się! zbudź Chryste nasz miły!

Zerwały się wiatru powiewy
Przedranne, co wieszczą świt zorzy;
Na niebie się jawi blask Boży.
Wśród pieśni skowronka pieściwéj,
Wśród ptasząt hałasu i gwaru,
Wśród szumu gajów i wrzosów:
Cieniste bramy niebiosów
Czerwienią się w łunach pożaru.

O zanoś, o zanoś się śpiewem
Skowronku, nad naszym zasiewem,
O gwarzcie ptaszęta rozgwarem,
O szumcie żałobnym sztandarem
Brzozy z grobowisk wiejące,
Uderzcie hymnami jak gromem
Nad domem żałobnym, nad domem
Gdzie dawno nie świeci już słońce.

II.

Śpiewały ptaszęta, szumiały
Na grobach brzozy płaczące:
Wtedy od Wawelskiéj skały
Uderzył dzwon zmartwychwstania:
Z złocistych ogni zarania
Zwycięskie wzniosło się słońce...

Resurrexit, sicut dixit!
W niebo hymn tryumfu buja:
Zmartwychpowstał, jak obiecał,
Alleluja! Alleluja!

Na dzwonu Zygmunta dźwięki
Tysiące dzwonów się niże,
Od gromkiéj zda się piosenki
Kołyszą się wieże i krzyże;
Kościoły drgają i mury,
Nieme brzmi pieśnią stworzenie,
Przez cienie nocy, przez chmury
W tryumfie mkną słońca promienie!

Szaleją, szaleją dzwony,
W niebieskim szaleją zachwycie!
Posłuchaj! tam jeden wzniesiony
Nad ziemi męczeńskiéj téj życie,
Wysoki, wolny, z pęt świata
W anielskie gdzieś życie ulata!
Tam drugi pojęki konania
W wyznawstwa hymny zamienia,
A inny się z grobów wyłania,
Procesyą zmarłych prowadzi,
A inny o niebios sklepienia
Jak kadzielnica, co kadzi,
Uderza tony srebrnemi:
A inny jak pacierz ziemi
Szepce, niewstrzyman mozołą,
Nucącym podobny aniołom!
Ale nad wszystkie, rzucony
W powietrza szerokie kręgi,
On leci, ojciec nad dzwony,
Ulany w czasach potęgi,
Jeremiasz z Zygmunta wieży,
Starzec w królewskiéj odzieży!
Leci! ton jego sędziwy
Rozbija się w dźwięków miliony:
To w srogie boleści i gniewy,
To w płaczu ojca kwilenie,
To w wspomnień i dumań bezdenie...
I szumią zwycięskie sztandary,
I pokolenia się roją,
I huczą tysiąca bitw gwary,
I jęczą milionów jęki:
Lecz słuchaj! Na chwałę Twoją
Bo zbiera je starzec do ręki
Bólami wieków szalony:
Uderza niemi w ton wiary,
O Chryste! bądź pochwalony!

Bądź pochwalony, o Chryste!
Boleści naszych nadmiarem;
Błysnęło słońce ogniste,
Ty zzmartwychwstania sztandarem

Płyniesz niesiony dzwonami,
Przed ludem ucisku, przed nami!

Za nasze kary i klęski
Bądź pochwalony o Chryste!
Chylimy czoła cieniste
U Twojéj stopy zwycięskiéj.
W bezdennéj niedoli naszéj
Przyjmujem wyroki Twoje,
Lecz ich wyrok nas nie straszy!

Słyszysz! tam wyją ich głosy,
Ryki zagłady szalone...
Inni twarze przerażone
Od krwawych zwrócili jatek...
Chryste, my piersi skrwawione,
My trupy czerwone dziatek,
My dawne blaski korony,
My dziejów naszych zasługi
Prowadzim, korowód długi
Za Tobą, wołając ku Tobie:
O Chryste! bądź pochwalony!

„Przez twe święte zmartwychwstanie“
Brzmi hymn nad nami kościoła.
Za tobą biały hetmanie
Jasnego wzroku i czoła
Idą synowie dni chwały,
Idą synowie dni męki,
Królowie z berłem u ręki,
Biskupów orszak wspaniały,
Rycerzy i niewiast miliony
Za Tobą hetmanie biały
Wołają: Bądź pochwalony!

12.

Toż w domów cichéj świątnicy
Spokojem tchnie święto wskrzeszenia:
Słoneczny promień w świetlicy
O wiośnie zielonéj coś gada:
Na duszy człowieczéj siada
Złocisty Anioł Zbawienia.
Piastowska zkądś cisza wieje,
Zastawny garnie stół gości,
Pan Bóg rozbudził nadzieję,
Więc niebrak płomienia miłości,
Więc serce topnieje w wosk miękki,
Więc talerz od ręki do ręki
Z jajkiem życzenia oblata,
A skrzydła pamięci cię niosą
Do twoich, co poszli k'niebiosom,
I na rodzinę kochaną
Z innego patrzą się świata.

Bożemi dary przybrany
Stół w izbie stoi świetlanéj.
W środku bieluchny baranek
Chorągiew zwycięztwa niesie
W bukszpanu zielonym lesie,
Swojska i dzika zwierzyna
Wyziera z chrzanu firanek...
Owdzie pszenicy łan złoty,
Kołacz się olbrzym zaczyna,
Baby jak smukłe namioty
Sterczą nad placków hufcami,
Dziatwa stojąca zdaleka
Chciwemi spoziera oczami...
Starym portretom na ścianie
Drga od uśmiechu powieka...

Nazajutrz w woni wiośnianéj
Przedchrześciańskie gdzieś czasy,
Czasy Marzany, Dziewanny
Lecą—dokoła hałasy,
Dziewcząt i chłopców pustoty...
Śmigust sztucznemi obroty
Goni po domu, ogrodzie,
Z konewką wody na przodzie...
Owdzie dzieweczka zdybana,
Pod jasną wody kaskadą
Boginią wyda się Ładą,
W tęczowe blaski odziana,
Gniewem i śmiechem różowa:
Tam w cieniu krzaków strwożony
Czarny wilkołak się chowa,
Aż wzleci, wodą spłoszony,
Kurcząc się w zimnéj kąpieli,
I zniknie w gajów topieli...

13.

Wiosna, psotnica urocza,
Na pól wybiegła obszary,
Na nieb wybiegła przeźrocza...
Skrzydłami ptasząt niesiona.
Przodem przez lasy i jary
Z śpiewem kos leci urwanym,
Strzecha rolnika omszona
Wita się z białym bocianem,
Kukułka, zaklęta królowa,
Gdzieś szczęście w zaroślach chowa.

Kołodziejowe toż czasy,
Zielono, gaisto i wonno!
W cudownéj odcienia krasy
Przystraja ziemi się łono.
Więc od błękitu na górach
Czarny odbija bór w dali,
Nad borem słońce w purpurach
Jak stos ofiarny się pali.
Od boru gdzieś ku dolinom
Dębiny, brzeziny płyną,
Jaśniejsze liściem, wiejące
Ku trawom, ku kwieciom na łące,
Ku sadom, co chaty w szeregu
Ubrały w girlandę ze śniegu,
Ku polom, co skiby ciemnemi
Sięgają w siną dal ziemi.

Polami, w przedświtach zorzy,
Na mgłach co wioną przez łany,
Płynie o wiośnie mąż Boży,
Patron téj ziemi zoranéj:
Wojciech w pobożnych drużynie
Ku ujściu Wisły tam płynie.
Za nim, w dni potem niewiele,
Z trumny w wawelskim kościele
Święty Stanisław wyrusza,
I trzykroć w krzyża znak święty
Pasterską laską swą rusza,
Aby urodzaj poczęty
Rozrodził obfitym się plonem
W ziemicy, któréj patronem.

14.

Dopełnienia idą czasy
W kościelnego wątku roka:
Więc w niebiosa pełne krasy,
W złocistego blask obłoka
Wpływa postać Boga-człeka
Czerwonemi strojna rany:
Więc o szczęście dla posianéj
Słowem Bożém ludów roli,
W dni krzyżowe wiernych rzeka
Przez przestrzenie ziemi płynie,
Skarżąc Bogu co ją boli...
Więc w umajone świątynie
Duch Święty gołębiem zlata,
A apostołów drużyna
Rozbiega się z krzyżem w kraj świata.
Więc wielki sojusz z niebiosy
Tysiączne wielbią odgłosy,
Za baldakinem, co kroczy
W wielkiéj procesyi, uroczy,
Mistyczny letni poranek...

I patrzaj! w pobożny wianek
Obyczaj stary się plecie,
Z pogańskich czasów zostały:
Jak okiem powiedziesz po świecie,
Wieczorem pagórki roztlały,
Buchają płomieniem gór szyki,
Po łanach migają płomienie:
Czy niebios upadło sklepienie
A gwiazdy na ziemi się palą?
Czy owe Zesłania języki
Na ziemię upadły tę falą?
Nie! to *sobótką* czerwoną
Słowiańskie obszary płoną!
Owéj sobótce szczęść Boże,
Niech światło i ciepło się wzmoże!..
Niechaj rozpłonie nad strzechą
Miłością, braterstwem, pociechą!

15.

Dopełnienia idą czasy
W dziejach ziemi, w dziejach ludzi,

Ziemia trudzi, duch się trudzi;
Przez boleści i niewczasy,
Przez noszenie Twego krzyża,
Przez zaprzanie i ofiarę
Więzy zrzuca, więzy stare,
I do Ciebie się przybliża...

A w dalekiéj tam Judei
Chrystus nad ludu głowami
W przyszłość ciężarną bólami
Głosi pieśń wielką nadziei;
Twarz Jego pełna promieni —
On mówi: Błogosławieni
Biedni, cierpiący, łaknący,
Płaczący błogosławieni...
Błogosławieni w cichości
Idący drogi mojemi,
Oni synami światłości,
Solą mądrości na ziemi.

Dopełnienia idą czasy
Na tę ziemię przebolałą;
Łez się i cierpień przebrało,
Grzechy obmyte sowicie,
Bożéj się kary moc kruszy:
W wyznawców, Panie, twych świcie
Niema niewolnéj już duszy,
Ale w boleści ogromie
Wołamy piersią przycichłą:
Panie! Zniszczenie w Twym domie,
Przyjdź rychło z pomocą, przyjdź rychło!

16.

Milkną majowe słowiki,
Szybko się roku bieg toczy,
W zbożowych łanach koniki
W świerk nieustanny, uroczy,
Zawodząc nocą i dniami,
Zdają się pracy duchami,
Co z łona matki przyrody
Wywodzą urodzaj młody.
I pośród koników śpiewu,
Pośród strumyków szemrania,
Wiatr fale zboża przegania,
Od wiatrów się chylą przewiewu,
Kłosami coś szemrzą pobożnie,
A dążą do góry wielmożnie...

Przepiórka wśród kłosów ukryta
O żniwo się pyta a pyta.
Czerwcową gorącą nocą,
Robaczki świecące migocą,
Jan święty cieniami pustyni
Roztwiera gościńce, rum czyni,
Piotr z Pawłem, niebiescy włodarze
Gotują stodoły na żniwa,
Skowronek na nieba obszarze
Jak śpiéwał, tak śpiéwa i śpiéwa...

Na nieba letniéj pogodzie,
Pośród bieluchnych chmur wełny,
Ponad gajami w ogrodzie
Przechadza księżyc się pełny;
Na rzekach mosty złociste
Drżącym buduje promieniem,
Łany szerokie, kłosiste,
Świetlanym obejma pierścieniem.

A morzem kwiatów i kłosów,
Chmurek bieluchnym odmętem
Przechadza się Pani niebiosów
Z dzieciątkiem na ręku świętem:
To w gronie *aniołów* królowa,
To w *śnieżny* rańtuch twarz chowa,
Aż długą tęsknotą znużona
Podniosła ku niebu ramiona;
Księżyc u stopy się ściele,
Aniołków niosą ją chmury,
I szaty ją same do góry
Na wieczne prowadzą wesele,
A tłumy tam ziemi sieroce
Podnoszą zioła, owoce,
Kłosiste snopy podnoszą
Do Téj, co wiecznie szczęśliwa,
Ku Bożym nieba rozkoszom
Pierwsza żniwiarka przybywa.

17.

Odtąd już zachód bez końca:
Krzątają się szyki żniwiarzy,
Pospiesza niebem tarcz słońca,
A jakąś tęsknotę ma w twarzy,
I smętném obejma spojrzeniem
Ściernie i gaje i lasy,
Jak starzec, który marzeniem
W dziecięce ulata gdzieś czasy.

I znowu rozgłośno i rojno
W szerokim świata obszarze,
Ziemia tak niby spokojną,
A niebo w ustawnym rozgwarze.
Nad wodą, nad ciemnym szuwarem
Krzyk wielki—ptaszęce narady,
Ugięty pod myśli ciężarem
Przechadza bocian się blady.

I patrzaj: choć pełne stodoły,
Choć ziarna na ziemi obficie,
W powietrzu tęsknoty anioły
Gdzieś w inne zrywają cię życie;
Gdy patrzysz w słońce co kona
W chmur sarkofagu czerwonym,
Gdy patrzysz w żórawi stada
Co płyną rożańcem złoconym
W słońca promieniach: wśród łona
Coś uroczystym gra tonem,
Na sercu ciężarem ci siada;
Ku temu słońcu co gaśnie
Leciałbyś w otchłań daleką,
Zanim nad głową zatrzaśnie
Zimowe, śnieżyste wieko.

Leciałbyś i pchnąłbyś ziemię
Jak czółno, co ludzkie plemie
Wiezie w krainę wieczności,
Gdzie niema ułudy młodości,
Gdzie niema starości przekwitu,
Gdzie ptaków wędrownych lotem
Duch goni w otchłanie błękitu.

18.

Przyjdzie chwila wybawienia,
Rozwinięcia skrzydeł chwila:
Tyle męki i cierpienia
Świat nieprózno zamogila;
Z drzew nieprózno ku niebiosom
Wichry świata liście niosą
Powiędniałe życia skwarem:
Przyjdzie On z krzyża sztandarem,
On, co włosy naszéj głowy,
Ptaki strzechy naszéj zliczył,
Pasterz dobry, pan surowy,
Co ku niebu przewodniczył.

W mgłach się nurza świat jesienny,
Wieje światem wichr zniszczenia;
Niby ludzkie pokolenia
Lecą w wichrach liści stada,
Wszystkich świętych dzień promienny
Przy *zadusznym* dniu zasiada.
Między niebem ołowianém,
Między ziemią rozpłakaną
Duchy roją się tumanem,
Z twarzą ciemną, to świetlaną;
Z rozpękniętéj wieków trumny
Idą wielkie ich kolumny
Obudzone dzwonów tonem —
On na górze w świętych świcie,
Więc chylają czół milionem
Gdzie wieczyste świeci życie!

Tętni, tętni dzwon grobowy
W listopada zawierusze,
Z murowanéj swéj alkowy
Zblakłe budzą się kontusze,
Z mogił wstają w rdzawéj zbroi
Piorunowéj grozy czoła...
Drgają serca, czemu z swojéj
Ciszy Pan je sądu woła.
Więc niepokój w grobach dziki,
Straszne jęki i wołania...
Gdy potomków krwawe szyki
Dni męczeńskich wichr przegania.

Lecą, lecą z wiatru wiewem
W krwawe uplecieni wieńce,
I szturmują niebo śpiewem
Ofiary i potępieńce...

Tętni, tętni dzwon grobowy
W listopada zawierusze,
O! zkąd ciągną w próg domowy
Rozrzucone naszych dusze,
Zkąd nie ciągną utęsknione,
Modłą swoich przywabione,
Jak ptaszęta wiatrów drogą,
Skołatane burz tumanem —
O! łaskawym bądź im Panem,
Nędzni gniewać cię nie mogą!

Tętni, tętni dzwon grobowy
W listopada zawierusze...
W pokutniczéj cała skrusze,
W całun odziana kirowy
Pani niegdyś ziem dostojna,
Nad pokoleń swych grobami
Już nie płacze serca łzami,
Ale patrzy w nieba sine
Obłąkana — czy spokojna...
Ona widzi znicestwiona
Tylko grzech swój, swoję winę;
Po nadmiarze ceni kary
Nadmiar złego w głębiach łona..
Panie! Panie! jakiejż miary
Kara im jest przeznaczona!!

NASZE POŁOŻENIE I OBOWIĄZKI.

Nie będziemy szanownych Czytelników naszego kalendarza wielką trudzić polityką. Kalendarz ma przeznaczony od Opatrzności rok żywota, rok cały od 1 stycznia do 31 grudnia; cóżby powiedziano, gdybyśmy postawili horoskop, któryby już w kwietniu lub marcu pokazał się omylnym, a ty szanowny Czytelniku kalendarza odczytał go dopiero w długi wieczór listopadowy! Śmiałbyś się ze mnie, a moja miłość własna niemałoby na tém ucierpiała.

Przyznam ci się także mimochodem, że mam niepospolitą do wielkiéj polityki antypatyą. Każe ona nam patrzeć po niebie a tymczasem wpadamy do studni, jak ów astrolog o którym bajka. Karmi płonnemi nadziejami lub rozpacznemi widokami na przyszłość, przywięzuje losy nasze do spraw cudzych, a zakrywa nam najbliższe chwytalne cele i nieodbite obowiązki.

Ograniczymy się zatem po staremu granicami dawnéj rzeczypospolitéj, granicami naszego języka i historyi, a jeżeli obejrzymy się za granicę, uczynimy to ostrożnie i bez sangwinicznych rojeń przyszłości.

Rozpocząwszy z humorem, rozstajemy się z nim u granic utrapionéj naszéj ziemi. Rok ubiegły nie był uboższym w klęski od strasznych swoich poprzedników. O przeważnéj części ojcowizny naszéj mówić nie możemy—płakać tylko! Kościół, narodowość, oświata, dobrobyt materyalny, stosunki społeczne, podkopuje nieubłagany zwycięzca z systematycznością, jakiéj przykładu trudno znaleść w historyi. Granice nasze cofają się z dniem każdym pod nawałą najezdnika. Jestto więcéj niż prześladowanie samodzierżcy: jestto rozbestwienie całéj rasy, która rzuciła się z tygrysią wściekłością na krwawą ofiarę. Pociechą jedyną może tu być tylko owo doświadczenie dziejowe, że podobna wściekłość zabija w końcu społeczeństwo katów, rozstraja je i niszczy; że tacy organizatorowie dla siebie i swoich celów społeczeństwa przetworzyć i zorganizować nie potrafią, bo społeczeństwo nie może istnieć bez prawa, bez pewnych zasad moralności i obyczaju. Słaba to pociecha! ale jest jeszcze Bóg, w obliczu którego dzieją się rzeczy, o jakich nie słyszał wiek postępu i cywilizacyi!

Szczelne zamknięcie granic Królestwa i krajów zabranych nie dozwala nam złożyć w obraz wszystkiego, co się tam dzieje. Truchlejemy tylko i rachujemy skutki, słuchamy pulsu życia męczeńskich prowincyj, oczekujemy lepszéj przyszłości, kary niebios, powstrzymania zbestwionego sąsiada. Co się od lat kilku na zachodzie stało: zwycięstwo zasady narodowości w Niemczech i we Włoszech, każe nam ufać, że w imie téj zasady, którą wsteczność nawet wojować jest przymuszona, musi wcześniéj lub później przyjść do walki z Rosyą; że bój ten niewątpliwego będzie skutku; że prowizoryczne środki się wyczerpały; że Europa da expiacyą za rok 1863, którego współwinę na sobie nosi. Nigdy też nie ciężył trudniejszy na narodzie obowiązek jak w chwili obecnéj. Po klęskach 1863 r. przychodzi mu

stanąć w gotowości moralnéj, w naprężonéj baczności obywatelskiéj.

Obowiązek ten cięży całą wagą na Galicyi, która, dziwną losów koleją, najbiedniejsza niedawno wśród prowincyj dawnéj Polski, wyszła na przodowniczkę i przedstawicielkę narodowego żywota! Przypadek przyłączył ją do państwa, którego przyszły byt jest bieżącą kwestyą na stole polityki europejskiéj, połączoną ściśle z panslawistyczną dążnością Rosyi. Jakiekolwiek obierze Austrya drogi, los jéj stanowczo zaważy na szali naszych losów: jest to pewnik, polegający na jéj jeograficzném położeniu i składzie etnograficznym, na spólności naturalnych nieprzyjaciół i interesów. Polityka uczuciowa, głęboko w naszym narodzie zakorzeniona, może być w imie dawnych i świeżych uraz dla tego wspólnictwa wstrętną: nie przestanie ono wszakże istnieć, jako loiczna konieczność. Idea narodowości, na któréj się nowy system państw buduje, stawia Austryi ultimatum życia i śmierci, podniesienie tarczy słowiańskiéj lub rozbiór pomiędzy Rosyą i Prusy. Czy Austrya do tego ultimatum się zastosuje, okaże przyszłość; to pewna, że kierunek zbawczy zależałby w znacznéj może części od nacisku interesowanych narodów. Rola Galicyi, jako części Polski, jest tutaj wielką, europejską, bo nikt lepiéj od nas Polaków nie zna grożącego od wschodu niebezpieczeństwa, nikt nie jest tyle przekonanym o potrzebie radykalnych w tym kierunku środków.

Taż idea narodowości stawia Austryi drugie ultimatum życia i śmierci z przejścia z polityki dynastycznéj w politykę mocarstwa o samodzielném, ideowém posłannictwie. Tradycya dynastyczna naraziła Austryą na nieobliczone straty; prąd jéj ku Włochom, odziedziczony po cesarzach rzymskich, pozbawił ją posiadłości włoskich bez ekwiwalentu; prąd ku Niemcom, sprowadził ostatnią, bolesną porażkę. Rok 1802, w którym mocarstwo to Austryą się nazwało, w którym wschodnią misyą na siebie wzięło, został zapomniany, traktaty 1815 rozrzuciły jego działalność na wszystkie strony; to też w miarę jak owe traktaty próchnieć zaczęły a sama Austrya w r. 1846 przez

zajęcie Krakowa pierwszy w nich wyłom zrobiła, mocarstwo austryackie wpadło w ustawny konflikt z dążeniami Zachodu i upadało na oczywistą korzyść wschodniego sąsiada. Od chwili w któréj Austrya wstąpiła na drogę konstytucyjną, odpowiedzialność za jéj kierunek nie spada na samą dynastyą: część odpowiedzialności spada na narody w skład jéj wchodzące. Historya stawia tym narodom kwestyą przyszłości, pyta się milionów Słowian austryackich, pyta się Węgrów, czy chcą oczekiwać w spokoju ostatnich skutków nieszczęśliwego kierunku państwa: pochłonięcia przez Rosyą. Spólnictwo nasze z Austryą jest zatem mniéj stosunkiem z dynastyą jak stosunkiem z plemiennemi naszemi pobratymcami, kwestyą cofnięcia moskiewskiego zagonu a przynajmniéj powstrzymania go do czasu stanowczéj z nim walki. Od dzielności politycznego wystąpienia naszego i Słowian zależeć będzie w znacznéj części postanowienie dynastyi a przynajmniéj zależeć powinno... Praca na tém polu jest obowiązkiem tych, którzy zajmują stanowisko, mogące wywrzeć wpływ gdzie należy; zwrócenie umysłów w ten kierunek obowiązkiem inteligencyi i dziennikarstwa krajowego...

Ale nie wszyscy sięgamy w te wysokie sfery, a najgorszą byłoby rzeczą, gdyby nerwowe oczekiwanie wypadków nie od nas zależących, gdyby poczucie jakiejś niepewności europejskich stosunków, nadzieje i obawy, miały nas od najbliższych, obywatelskich odwoływać funkcyj. Nie bez przyczyny zarzucano nam, że wielka polityka zanadto nas zajmuje; że przenikając zamysły Napoleona i mocarzy europejskich, obojętniejemy często dla najbliższych i najważniejszych obowiązków; że z ciasnego kątka cały świat obejmując, sprawdzamy na sobie francuskie przysłowie: *Qui trop embrasse mal etreint.* Niebrak też u nas doktrynerów i ogólnikowiczów, którzy gadając nam o godności narodowéj i wytrwaniu na abstrakcyjném jakiémś narodowém stanowisku, radziby neutralizować nasz współudział dla bieżących kwestyj krajowych, dawać pożywioł naszéj uczuciowéj polityce udając się do historyi bliższéj i dalszéj, nie pamiętając a raczéj niechcąc pamiętać, że owa uczuciowa polityka zawsze naj-

gorszą nam była radczynią; że zużytkowanie sytuacyi dla chwytalnych moralnych i materyalnych korzyści jest tylko zmocnieniem narodowych zasobów; że nikt się ze względu na godność narodową takiego zużytkowania sytuacyi obawiać nie powinien, kto ma jakąkolwiek wiarę w naszą kilkowiekową przeszłość i pozostającą po niéj tradycyą.

Zdrowy rozum polityczny odsłania nam szerokie pole działalności, na które wstąpić obywatelskie rozkazuje sumienie. Jakąkolwiek będzie przyszłość, będzie ona o tyle lepszą, o ile się z całą energią dzisiaj do pracy zabierzemy. Niepewność téj przyszłości powinna być jednym bodźcem więcéj.

Na pierwszym planie stoją tutaj nasze społeczne stosunki. O chaotyczności ich mówić nie potrzeba, niemniéj o przyczynach które ją spowodowały. Faktem jest, że od lat dwudziestu lud nasz bardzo mało na drodze obywatelstwa postąpił, że na moralności nie zyskał, oświaty nie przyjął, pod względem materyalnym raczéj się zachwiał jak rozwielmożnił. Faktem jest, że pomiędzy nim a warstwą wyższą istnieje już nietyle nienawiść, co nieufność z jednéj, obojętność z drugiéj strony; że rozdział gminy dworskiéj i wiejskiéj jeżeli pewne negacyjne przyniósł rezultata, to wszelkim pozytywnym dotąd przeszkadzał korzyściom, tworząc z większéj a mniejszéj własności dwa zupełnie odrębne światy. Faktem jest, że ten rozdział oddając lud wiejski na łup nieszczęśliwéj organizacyi powiatów, utrwalił dawne socyalne wstręty i zachcianki, zamiast je osłabić; że pojęcie sprawiedliwości i prawa, dzięki owym wielkorządom powiatowym, do reszty w ludzie naszym zachwiane zostało. Pomimo znacznéj liczby szkół ludowych w księgach statystyki zapisanéj, faktem jest, że lud ani ochoty do nauki nie nabrał, ani potrzeby jéj nie pojął; że nauka jakiéj udzielano nie stosowała się do jego stanu, że nosiła cechę obcéj, politycznéj tendencyi, cechę propagandy niemieckiéj. Faktem jest nareszcie, że w skutek wielkich ciężarów, w skutek braku ekonomicznych pojęć i kierunku ku dobrobytowi, lud w wielu miejscach raczéj się wywłaszcza i zadłuża, zamiast róść w zasoby; że postęp jego

gospodarstwa od daty zniesienia robocizny nie odpowiada bynajmniéj najskromniejszéj nawet rachubie.

Stan ten cięży całą wagą na innych warstwach społeczeństwa a mianowicie na bezpośrednio interesowanéj większéj własności. Sprawia on, że na ławach poselskich widzimy owoc nieufności ludu wiejskiego w postaci nieoświeconych, nieporadnych i do niczego niezdolnych reprezentantów, owoc jego namiętności w postaci przewrotnych ludzi, którzy obietnicami cudzéj własności jednają sobie głosy jego. Sprawia on, że między większą a mniejszą własnością niema obywatelskiego stosunku, pomimo wspólności interesów: niema owego naturalnego prądu światła z góry na dół, którym dolne warstwy się dźwigają, za pomocą którego wydzielają kontyngens dla warstw wyższych. Jak w czasach wzburzonych namiętności ludowych, panuje i dzisiaj między ludem chęć *schłopienia* społeczeństwa, antypatya do warstwy wyższéj, zamiast owéj naturalnéj chęci wyniesienia się nad swój stan, które bywa bodźcem intelektualnego i ekonomicznego postępu. Ta antypatya rozgrzesza lud do nieszanowania cudzéj własności, ponurza go w grubych i dzikich obyczajach, wyradza w nim jeżeli nie pogardę to wstręt do oświaty. Marnieją więc młode i świeże siły milionów przypuszczonych do wolności i równości, a nieumiejących użyć przywileju swego.

Nie omylimy się może, jeżeli przyczyny tego stanu sprowadzimy do dwóch czynników: 1) odosobnienia, 2) ciemnoty. Niema lekkomyślniejszego i smutniejszego *dictum*, a niestety! dosyć rozpowszechnionego, jak owo, że z ustaniem stósunków pańszczyźnianych ustały zarazem stosunki dworu z chłopem, że *pan sobie* a *chłop sobie*. Nie myślimy bynajmniéj schodzić tu na pole sentymentów i prawić kazania o utrzymaniu dawnych patryarchalnych węzłów, o prywatnych szkółkach i apteczkach, które pozostawiamy dobréj woli chrześciańskich panów; nie chcemy żądać propagandy za pomocą czytelń i tym podobnych przedsiębiorstw, których doniosłość nie sięga zwykle tam, gdzie sięgać sobie zamierza. Lud nasz spodejrzliwiony przez wrogie nam wpływy nie lubi umizgów, jak nie lubi owych maniero-

wanych książek pisanych stylem jego rubasznéj mowy. Ale idziemy na pole polityczne, społeczne i ekonomiczne, i twierdzimy, że na każdém z nich zależnemi jesteśmy od stanu ludu naszego, czego po jakiém takiém zastanowieniu się nikt nie zaprzeczy. Od chwili uwłaszczenia przybyło miliony obywateli; chcemyż, aby ci obywatele wyrośli w potęgę nam zupełnie obcą? Do tego dąży odosobnienie. Miało ono słuszne swoje na czasie powody: dzisiaj powinno ustąpić dążeniu do stopniowo coraz ściślejszych związków na polu polityczném i społecznem.

Na polu politycznem i społecznem powiadamy, bo to jest jedyna arena spotkania. Jakimkolwiek chłop nasz jest, trzeba nam go wziąść na seryo jako członka gminy, rady powiatowéj, koła wyborczego; trzeba mu stanąć oko w oko, stawić czoło jego nieufności i podejrzeniom, wzmacniać w nim jego poczucie godności obywatelskiéj, obudzać w nim jego instynkt sprawiedliwości, przyzwyczajać go do jawności słowa i czynu, do odwagi cywilnéj, oduczyć w ten sposób od pełzania i niewolniczych nawyczków. Raz spotkawszy się z nim na tém polu, odbierze się mu główną broń, którą na szkodę społeczeństwa wojował: jego separatyzm i bierność; wprowadzi się go w pracę około publicznego dobra, którego dotąd nie rozumiał; obudzi się w nim samowiedzę i samodzielność, którą mu nieprzyjazne odbierały wpływy. Trudność jego nowego położenia wreszcie, obudzi w nim uszanowanie dla warstwy oświeconéj i obudzi w nim potrzebę oświaty.

Raz na seryo jako współobywatel pojęty, do kolegialnego ciała przypuszczony, w autonomicznéj radzie udział biorący, ów włościanin, który jako wójt był tylko najniższym wszechmocnego powiatu organem wykonawczym, przejdzie w krótkim czasie pierwszy szczebel rozwoju obywatelskiego: dowie się, że jest obywatelem. Rada powiatowa będzie tym sposobem pierwszym połączenia stopniem, którego wydoskonaleniem byłaby gmina zbiorowa na ostatnim sejmie projektowana, a ostatnim ideałem samorząd dobrowolnie klejących się gmin, niepodzielonych na dworskie i włościańskie obszary. Nie potrzebujemy za-

pewne mówić, ile na chętném zajęciu się radami powiatowemi krajowi zależy, jak pomimo niemałych trudności i przeszkód, konieczną jest rzeczą, aby się nieusuwać od obowiązków, na których przyszłość kraju spoczywa. Znając owe trudności i przeszkody, cieszymy się już naprzód, że po kilku latach próby zaprowadzą one same do owéj przegłosowanéj na ostatnim sejmie praktyczniejszéj formy: do gminy zbiorowéj.

O ile w radzie powiatowéj należy nam lud nasz brać na seryo, jako lud do obywatelskiego powołany życia, o ile należy nam wybranych jego koryfeuszów podnosić do poczucia ich zadania i tworzyć w ten sposób prowizoryczną między nim inteligencyą, o tyle w kwestyi oświaty należy go uważać za dziecko, które tylko zmuszone lekarstwo przyjmuje. Podług różowych statystycznych wykazów monarchii austryackiéj z r. 1863 ma Galicya 2,448 szkół trywialnych, a na sześćkroćstotysięcy dzieci, które się uczyć powinny, do 140,000 uczęszczających do szkoły. Niepodobna nam sprawdzić tego rachunku *), wierzymy mu przeto na ślepo; konstatujemy tylko, że muszą widać istnieć ubłogosławione jakieś okolice, w których szkoła sąsiaduje z szkołą, podczas gdy inne w dwumilowéj od siebie stoją odległości. Konstatujemy fakt, na najrozmaitszych punktach kraju naszego doświadczony, że szkoła należy do instytucyj, które nasz chłop najmniéj rozumie i miłuje; że posyłanie dzieci do szkoły ma się najczęściéj w odwrotnym stosunku do jego zamożności; że straszna zasada o zbyteczności oświaty dla kmiecia pochodzi z owéj głęboko wkorzenionéj w lud tendencyi chłopienia. Poprawy tych stosunków trudno oczekiwać — trzeba użyć stanowczego środka. Takim środkiem jest *przymusowe posyłanie do szkoły*, włożone

---

*) Z wykazu urzędowego w „Handbuch des Statthalterei Gebietes in Galizien für das Jahr 1866“ narachowaliśmy w Galicyi szkół trywialnych 1068, parafialnych, wliczając w to filialne, prowizoryczne (Nothschulen) 803, w téj liczbie zaś znajduje się przynajmniéj 200 nieobsadzonych. Podług ostatniego „Statistiches Jahrbuch für 1864“ liczba szkół trywialnych podana jest na 2448. Muszą to zapewne być szkoły *uchwalone*, wytyczone na mapie w kancelaryi, ale nie istniejące tylko w liczbie powyżéj wykazanéj.

jako obowiązek na rodziców, a obostrzone karami, rosnącemi w miarę ich możności. Bez przymusu, pod naciskiem którego lud nasz wszystkie swoje funkcye społeczne dotychczas odbywał, o postępie oświaty mówić nie można: będzie on tylko sporadycznym, zależnym od przypadkowych wpływów *).

Nie potrzebujemy zapewne wspominać, że organizacya szkół ludowych, poświęcona politycznym tendencyom byłego systemu rządowego, jest drugą główną przyczyną braku oświaty. Gdzie w szkółce trywialnéj język obcy jest obowiązkowym, gdzie profesorowie rekrutują się z byłych żandarmów, amtsdienerów i policyantów, gdzie przepisane są książki polskie, przepełnione błędami ortograficznemi i gramatycznemi, gdzie nauka niema żadnego z życiem stosunku, a moralność ogranicza się do ślepego bałwochwalstwa władzy, gdzie uczeń nie dowiaduje się o niczém, praktycznie mu w życiu potrzebném, ale wyrasta na pokornego służkę powiatu — tam o oświacie mowy być nie może. Szkoła ludowa wymaga więc reformy od stóp do głów, wymaga podporządkowania pod inny kierunek u góry, zmiany metody, książek, nauczycieli; słowem, należy ją stworzyć dla ludu. W stworzeniu szkoły ludowéj spoczywa cała przyszłość społeczna kraju: ku niéj przeto zwrócić się winna energia sejmu, nacisk opinii krajowéj. Kraj, chociaż tak ubogi, nie powinien się cofnąć przed żadnemi w tym względzie ofiarami, bo od tego zależy los jego dzieci i wnuków.

Rada powiatowa i szkoła oto dwie instytucye, którym

*) Przymusowe posyłanie istnieje, ale jako litera prawa. Włościanin nieposyłający dzieci od 6 do 12 lat do szkoły płaci dziennie 4 centy kary od jednego. Nauczyciel wiejski wykazuje, powiat exekwuje. Pomimo tego zaledwie dziesiąta część uczęszcza do szkół trywialnych. Jakiż tego powód? Oto, że dzisiejszy przymus nie jest żadnym przymusem. Nauczyciel wiejski boi się wykazywać nieuczęszczających, kara mało kogo trafia. Jest to zresztą kara, która małością swoją nie przeraża, która do rozmaitości majątkowego położenia zastósowaną nie jest. Kara ryczałtowa, znaczna, stopniująca się w miarę nieposłuszeństwa, jest tu konieczną. Tylko rada powiatowa zresztą może tutaj rozwinąć energią, jeżeli szkoły trywialne stósownéj ulegną reformie.

całą powinniśmy poświęcić pieczołowitość. Mamy przyrodzoną wadę ogarnywania całości bez starania o części składowe; poświęcenie życia i mienia dla ojczyzny, szczególniéj w chwili zapału, jest dla nas rzeczą łatwą: nabądźmyż raz przekonania, że dobro całości zależy od funkcyj w małém kole odbywanych, które składają się w ruch powszechnego organizmu. Miejmyż przekonanie, że poświęcenie się w radzie powiatowéj jest większą obywatelską zasługą, a przynajmniéj więcéj bezpośrednich przynoszącą korzyści, jak niejeden czyn bohaterski, dokonany w jednéj chwili rozbudzonego animuszu.

Ekonomiczna kwestya krajowa graniczy bezpośrednio ze społeczną. Pomiędzy oboma spotykamy najpierw ciężarną w przyszłość kwestyą żydów, owego ludu zajmującego dziesiątą część ludności a krzątającego się za jéj połowę.

Kwestya żydowska każdego dnia coraz ogromniejsze i straszniejsze przybiera rozmiary. Jeżeli źle wyszliśmy na wyosobnieniu chłopa, gorzéj jeszcze wychodzimy na wyosobnieniu żyda. Urósł on w społeczeństwie naszém w potęgę obcą, nieznaną, tajemniczą, objął wszystkie stosunki ekonomicznego życia w sieć pajęczą, któréj zbadać nie zdołamy, a która nas w żelaznych trzyma okowach. Poniewierany i wzgardzony, stanął w społeczeństwie jako wyzyskiwacz jego nieporadności i ospalstwa, i wytrwałością dobił się władzy potężnéj, którą wykonywa z nieubłaganością nieprzyjaciela. Mały tylko stosunkowo procent zbliżył się do narodowego obozu, znaczniejszy przyjął cywilizacyą niemiecką, niepomny, że środki do jéj nabycia podał mu chléb polski.

Tak przedstawia nam się naród żydowski, trapiący i wywłaszczający szlachcica i chłopa, podkopujący moralność ludu, garnący w swój monopol cały handel krajowy. Wobec takiego stanu rzeczy społeczeństwo obraca się w błędném kole i mówi do żydów: Poprawcie się, a damy wam równouprawnienie. Żydzi odpowiadają: Dajcie nam równouprawnienie, a będziemy inni. Aby raz wyjść z tego błędnego koła, należałoby równocześnie

chwycić się kilku radykalnych środków, nadających zwrot kwestyi żydowskiéj.

Przeciwnicy równouprawnienia, a jest ich bardzo wielu, prócz względów religijnych i społecznych, mają wzgląd ekonomiczny na myśli. Obawiają się oni, że równouprawnienie nie zmieni wcale, przynajmniéj na lat kilkanaście, negacyjnego i niszczącego działania żydów; że przeciwnie, otwierając im zamknięte dotąd szluzy, sprowadzi na społeczeństwo prawdziwy potop judaizmu. Obawa ta ma wiele słuszności za sobą, ale nie zmienia konieczności równouprawnienia. Za lat dziesięć stan będzie gorszy a równouprawnienie pomimo tego konieczniejszém. Lepiéj go więc dać dzisiaj, lepiéj otworzyć żydom szeroki gościniec obywatelskiego życia, drogę do nabycia większéj własności, a zamknąć ile możności, współcześnie, owe kręte ścieżki, któremi chodząc społeczeństwu szkodzili, owe ciemne zaułki, w których przeciw społeczeństwu konspirowali. Powściągnięcie lichwy zapomocą ograniczenia weksli do stosunków kupieckich; wejrzenie w działalność kahałów, jako państw w państwie, i określenie ich działalności, mianowicie sądowniczéj; obowiązkowa nauka w szkołach polskich obostrzona karami; czynne poparcie postępowego między żydami stronnictwa przeciw fanatycznym starowiercom działającego, oto środki, które złagodzą przykrość przejściowéj epoki. Jeżeli zresztą, co jest faktem, ów tryumf żydów jest skutkiem naszego ospalstwa i nieporadności, starajmy się otrząsnąć z tych błędów wobec owéj konieczności równouprawnienia, poprzyjmy usiłowania naszych domów komisowych, zdobądźmy się na stowarzyszenia w celu powstrzymania monopolu handlowego żydów, miejmy odwagę usunąć ich z karczem naszych wiejskich, gdzie bywają najszkodliwszemi, pracujmy nad środkami wydobycia się ze szpon lichwiarzy za pomocą reform naszego Towarzystwa Kredytowego, za pomocą założenia banku krajowego pomocy rolniczéj. Tylko słabe i upadające warstwy społeczne pokładają nadzieję swoją w systemie prohibicyjnym, który ma ochraniać ich nieudolność, strzedz ich przed niebezpieczeństwy. Nieubłagany prąd dziejów przewró-

ci te zapory, a przewraca je zwykle ze szkodą stawiających opór.

Powtarzamy raz jeszcze, że tylko separatyzm uczynił żyda szkodliwym społeczeństwu i narodowi. Wpuszczony do obozu naszego zabarwi on społeczeństwo odmiennym swym kolorem, ale go już nie opanuje. Straci swoją właściwość a przejmie obyczaje, ba, nawet wady nasze. Siłą jego jest hałat i brudny sklep na żydowskiém przedmieściu, w mieście: na wsi, we dworze niegdyś szlacheckim, zmieni on się do niepoznania. Na wstąpieniu jego w próg narodowy, naród zyska tylko, bo któż odmówi żydom znamienitych zdolności, energii i siły duszy?

Chwila obecna wydaje nam się jedyną dla stanowczego kwestyi żydowskiéj załatwienia. Możemy dzisiaj jako naród przemówić; jutro lub pojutrze wyda wyrok obcy, na naszą szkodę. Lata centralizacyi wychowały cały zastęp niemieckiéj inteligencyi żydowskiéj, czyliż lata autonomii nie pozostawią po sobie polskiego tejże inteligencyi zastępu.

Mówiąc o żydach natrąciliśmy o bankach i potrzebie stowarzyszeń. Dziwna rzecz, że na tyle projektów, na tyle utyskiwań nic się dotąd pod tym względem prócz poronionych płodów w kraju nie pojawiło. Instynkt zachowawczy był niepłodnym. Zapominano niestety zbyt często, że banki i stowarzyszenia nie powstają na zasadzie miłości bliźniego, patryotyzmu, ale na podstawie prostego ekonomicznego interesu.

Tego interesu nikt jak widać nie upatrywał. Przeciwni sentymentowi musimy przecież zauważyć, że ten fakt świadczy o ekonomiczném krótkowidztwie. Interesem ekonomicznym nie jest tylko ów interes, który w regularnych terminach lichwę przynosi, jak dobry papier publiczny — jest nim także powszechny dobrobyt, uregulowanie korzystne stosunków handlowych i przemysłowych kraju, pociągające za sobą lepszą ekonomiczną przyszłość każdéj jednostki. Kupowanie papierów i odcinanie kuponów może być dobrym interesem na pewien przeciąg czasu, ale jeżeli się kapitały całego kraju na nie rzucą, przyjść może czas, gdzieby się cenny papier wymienić chciało na biedny kawałek

ziemi lub niepokaźną realność. Użycie kapitału jaki ktoś posiada, podlega także przepisom moralności, niezarejestrowanym wprawdzie w kodeks ustaw moralnych, ale niemniéj świętym. Nie dziwimy się małym kapitalistom, że w obrotach swoich sum nie kierują się temi przepisami; ale dziwić się zawsze będziemy wielkim firmom pieniężnym, że nie uchwycą inicyatywy w instytucyi banku rolniczego, który ratując większą własność, podnosząc rolnictwo, zabezpieczałby kraj i ich samych. Niskiéj ceny produktów, małego w stosunku do rozległości i urodzajności kraju dochodu z ziemi, nie przypisze przecież nikt samym targom zagranicznym, bo przypisać go w znacznéj części należy monopolowi żydowskiemu i nadzwyczajnemu obdłużeniu własności. Monopol zawiązaniem bezpośrednich stosunków handlowych złamać, dalszemu obdłużeniu przez otwarcie uczciwego kredytu przeszkodzić, produkcyą przez podanie pomocy podnieść, oto cel banku rolniczego, o który od tak dawna z mąk czyścowych woła większa własność. Jeżeli pewność interesu coś znaczy w ekonomii, toć bank połączony z instytucyą szpichlerzy w punktach gdzie kolej żelazna przechodzi, oparty na hipotece ziarna i ziemi, posuwający z każdym rokiem dobrobyt kraju naprzód, jest zaiste pewniejszym interesem od gry giełdowéj, która już niejedno wielkie mienie pożarła.

Mówiąc o sprawach krajowych w kalendarzu, musimy poprzestawać na ogólném ich traktowaniu i na wskazaniu kierunku, jakim kraj podług ubogiego zdania naszego iść powinien. Cokolwiekbądź dzisiejsza kraju ustanowi reprezentacya, cokolwiek tak pożądany powszechnie i na najszczersze poparcie zasługujący Namiestnik w życie wprowadzi, rozwój dalszy tych postanowień i zastosowanie ich w życiu praktyczném należy do kraju i od kraju zależeć będzie. Przyzwyczailiśmy się niestety wyglądać zbawienia od mocarstw i konstelacyj politycznych, a w ludziach wyższe zajmujących stanowisko widzieć Mesyaszów, od których spodziewamy się wszystkiego, skłonni do prędkiéj dyzillUzyi, gdyby to *wszystko* nie zaraz się pokazało. Nie utrudniajmyż w ten sposób położenia dzisiejszego Namiestnika. Z krajem

myślącym o sobie zrobi wszystko mniéj zdolny od hr. Gołuchowskiego, z krajem kładącym całą odpowiedzialność na barki jednego człowieka, żaden człowiek poradzić sobie nie zdoła.

Nie przesądzając nowéj ustawy wyborczéj, podług któréj nowe przyszłoroczne nastąpią wybory, wyrazimy nadzieję, że będzie lepszą od umierającego patentu p. Schmerlinga, byle większość polska solidarnie się trzymać umiała, byle zachciałki konserwacyi społecznego stanowiska nie stanęły na zawadzie słusznym żądaniom liberalnym kraju. Gdyby podział na kurye zniesiono, co w obec zasady postępowéj zawsze pożądaną ale i niebezpieczną byłoby rzeczą, a *census* podatkowy miał utworzyć podług wysokości swojéj nowe mięszane kurye, spodziewamy się, że sejm uwzględni prawa inteligencyi niepodatkującéj, tak fatalnie w przeszłéj pominięte ustawie. Zasada: aby poseł czytać i pisać umiał i elementarne przynajmniéj szkoły skończył, wydaje nam się niezbędną. W razie zatrzymania kuryj, uwzględnione zapewne będą słuszne żądania miast, upośledzonych srodze przez tendencyjną ustawę byłego ministeryum.

Ubiegłe sześciolecie sejmowe przekonało dowodnie, że tylko jednostki a nie zera polityczne, tylko ludzie pracy, nauki, doświadczenia, ludzie specyalni w sejmie miejsce znaleść powinni; przekonało dowodnie, że sejm nie trudni się sprawami obwodów, miasteczek i wsi pojedynczych, ale sprawami kraju, o czém po długich latach nieparlamentarnego żywota niejeden w kuryach nawet wyższych zapomniał. Otóż spodziewamy się, że skład przyszłego sejmu zachowując w swojém łonie wszystkie prawdziwie użyteczne osobistości, pozbędzie się wszystkich nieużytecznych, czas próżną gadaniną zabierających, bez względu na ich pozycyą socyalną lub obwodowe stosunki sąsiedzkie. Spodziewamy się, że wybór nowych posłów wypadnie: 1) w duchu narodowym, 2) w duchu organicznéj pracy krajowéj, 3) w duchu liberalnym a mającym na oku dobrobyt całego społeczeństwa i jego postęp.